



FOT. ANDRZEJ WIKTOR

# TRUDNO SIĘ ZATRZYMAĆ

Świat bardzo się skurczył, zmałał. Odległości kiedyś wymagające wielkiej wyprawy dziś są do przebycia w kilka godzin. Nie lubię tej globalizacji

Jacek i Michał Karnowscy rozmawiają z **JACKIEM PAŁKIEWICZEM**, podróżnikiem, odkrywcą, dziennikarzem, członkiem rzeczywistym Królewskiego Towarzystwa Geograficznego w Londynie

**Jest pan dla Polaków, a pewnie i Włochów, wśród których pan także mieszka, symbolem podróżnika, obywateli świata, poszukiwacza przygód. Jak to się wszystko zaczęło?**

Od dziecka ciągnęło mnie w świat. Ciocia dostarczała mi wszystkie możliwe, dostępne w tamtym czasie w Polsce książki podróżnicze. Pochłaniałem je błyskawicznie. Tata podarował mi zaś globus, po którym jeździłem palcem, jeszcze zanim poszedłem do szkoły. Wyobrażałem sobie podróże, najchętniej te egzotyczne. Im dalej, tym lepiej.

**To były czasy głębokiej komuny. Nie można było ot tak, po prostu wyjechać.** Dlatego miałem plan, by ruszyć w świat jako marynarz. Mama mi podpowie-

działa, by pójść do szkoły morskiej. Niestety w Gdyni mnie odrzucili, bo uznali, że moje lewe oko jest jakoś tam felerne. Wróciłem smutny, ale mama miała kolejny pomysł. Powiedziała: „Słuchaj, dziennikarze też mogą podróżować”. Poszedłem zatem na dziennikarstwo. Szybko zdałem sobie jednak sprawę, że w dziennikarstwie to też nie takie proste, a poza tym, że możliwości dotyczą głównie państw socjalistycznych. To było za mało jak na moje plany i marzenia.

**Zostawała ucieczka z kraju?**

Tak. Pierwszy raz mnie złapali na granicy od razu. Za drugim razem doszedłem dalej, ale też mnie złapali. Wreszcie za trzecim przeszedłem do Niemiec Zachodnich. Zaczepiłem się we Włoszech.

W czasie dwóch tygodni przerobiłem kurs szkoły morskiej i w Konsulacie Liberii w Genui zdałem egzamin na drugiego oficera floty handlowej. Na statkach tanich bander przez dwa lata pływałem po świecie. Trudny to zawód, nieleżący w mojej naturze. Męczyłem się. Jednak pieniądze były dobre, przez dwa lata zdołałem odłożyć ich tyle, że mogłem zacząć podróżować.

**Najpierw po Afryce?**

Tak, to było takie pełne rzucenie się w przygodę. Pracowałem w kopalniach złota w Ghanie, ale też w kopalniach diamentów w Sierra Leone. Niektórzy twierdzą, że wywoziłem stamtąd tyle diamentów, iż wystarczyło mi na całe życie. Niestety to nieprawda [śmiech].

**Miał pan wówczas jakąś wizję siebie? Chciał pan pisać książki? Reportaże? Być jak Indiana Jones?**

Niektórzy moi fani porównują mnie z Indianą Jonesem, ale przyjmuję to z przymrużeniem oka. Gdy wędrowałem wtedy po Afryce, nawet nie znałem tego bohatera. A czego szukałem? Przygody, ciekawych ludzi, pięknych miejsc. Dzisiaj ludzie tego nie czują, bo każdy ma setki możliwości rozrywki, zabawy, hobby. Wtedy świat wyglądał inaczej i jak ktoś chciał ciekawego życia, to taka podróż bywała jedyną możliwością.

**Ostatecznie zaczął pan jednak żyć z pisaniami?**

Tak, zorientowałem się, że jest duże zapotrzebowanie na dobre teksty podróżnicze. W krótkim czasie związałem się z potężnym dziennikiem włoskim „Corriere della sera”. Zakończył się wtedy pierwszy etap moich wypraw, bardzo spontanicznych, często improwizowanych. Stałem się na kilkanaście lat podróżnikiem reporterem. Jeśli ktoś ma ochotę poczytać, to skany tamtych tekstów znajdzie na mojej stronie [www.palkiewicz.com](http://www.palkiewicz.com).

**Był rynek?**

Ogromny. Nawet we Włoszech, których obywatele mieli otwarte granice na cały świat, jeden i ten sam temat, oczywiście opisany za każdym razem na nowo, kupowało pięć różnych gazet. Jakiż to kontrast z obecną biedą mediów w Europie, gdzie nawet jak jakaś redakcja kupi reportaże, to nie ma mowy, by wynagrodzenie pokryło choć jedną piątą kosztów wyprawy.

**Tak, ale to nie wina redakcji, tylko sposobu zmiany konsumpcji mediów. Czytelnicy chcą w internecie wszystkiego za darmo. A ci, którzy jeżdżą, też często piszą blogi.**

Jeśli to jest autentyczne i wynika z pragnienia podzielenia się wiedzą, doświadczeniem, pasją, jeżeli opisuje rzeczy wyjątkowe, to dobrze. Jeżeli jest wynikiem tylko chęci pochwalenia się migawkami, to niestety raczej zaśmieca to umysły czytelników, niż ich wzbogaca.

**Długo trzymał się pan Afryki?**

Kilka lat. Z czasem zaczęły mnie też fascynować dżungle i Ameryka Południowa, Azja. Zacząłem kombinować, by każda wyprawa była trudniejsza, atrakcyjniej-

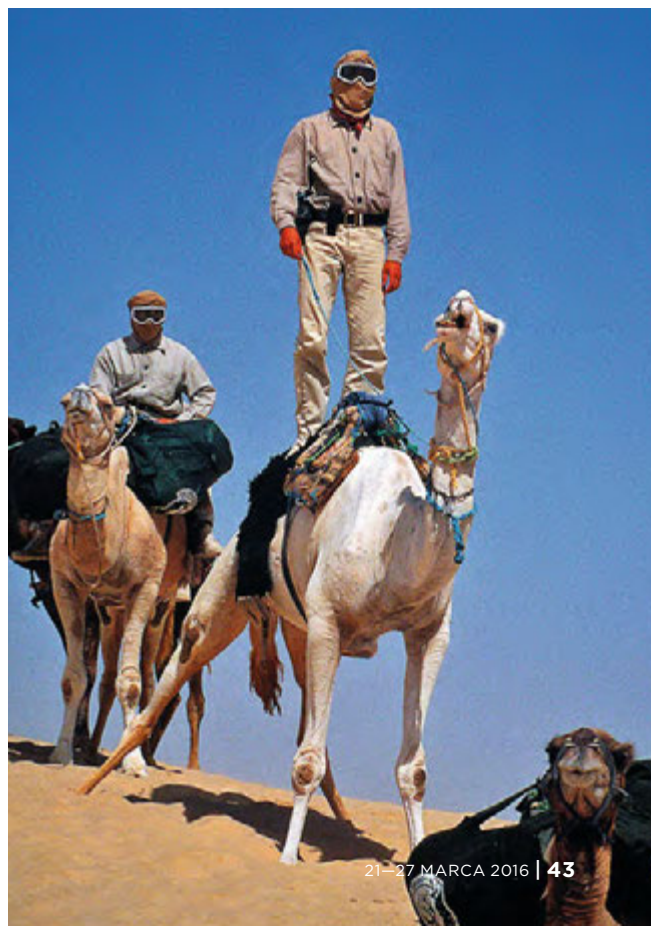
szą, by dotrzeć tam, gdzie Europejczycy bywali rzadko lub nawet nigdy. Bo podróżowanie jest narkotykiem. Jak już wejdziesz się na tę drogę, złapie tego bakcyła, to trudno się zatrzymać. Człowiek stawia sobie coraz to nowe wyzwania, podnosi poprzeczkę, stopień trudności tych wypraw. Pamiętajmy, żeby nie mylić podróży z wycieczkami. To dwie różne sprawy.

**Był pan w miejscu, w którym nie było wcześniej Europejczyka?**

Tak. W 1975 r. wyprawilem się do Wenezueli na Orinoko. Trafiłem do wioski Indian z plemienia Janomani, dla których byłem pierwszym widzianym białym człowiekiem. Fakt istnienia tego plemienia zaledwie kilka lat wcześniej został odkryty przez amerykańskiego antropologa.

**Może dziś pan powiedzieć, że poznał pan cały świat?**

Na początku były takie myśli, takie ambicje. Ale szybko zdałem sobie sprawę, że jeśli zdecydowałem się na wyprawy jakościowe, pogłębione, odbywane miejscowymi środkami podróżowania, ►



■ to nie ma możliwości, by być wszędzie. Wszędzie to można pojechać na wycieczkę, wpaść na chwilę, dotknąć zaledwie danego regionu. Ja chciałem podróżować, poznawać kraje dokładnie i z bliska. A zatem nie było mowy, by poznać cały świat. Zwłaszcza młodzi ludzie na spotkaniach autorskich dopytują mnie, w ilu krajach byłem. Nie potrafię odpowiedzieć, dawno straciłem rachubę.

**Dzisiaj pewnie da się podróżować szybciej. Ale też jest obawa, że wszystko się do siebie niepokojąco upodabnia. Takie same hotele, podobne restauracje, ulice, samochody.**

To nie jest obawa, to już sprawa właściwie przegrana. Świat się bardzo skurczył, zmalał, odległości kiedyś wymagające wielkiej wyprawy dziś są do przebycia w kilka godzin. Kilka lat temu zjadłem śniadanie w Warszawie, obiad w Lizbonie, kolację w Buenos Aires, a na noc byłem w hotelu w Montevideo.

**I wszędzie hotel taki sam?**

Żeby tylko hotel. Od jedzenia po pamiątki. To jest właśnie globalizacja, której nie lubię. Wyrывa ona korzenie państw i narodów, upodabnia wszystkich do siebie, odbiera urok i wyjątkowość, spłaszcza straszliwie. Wytrawni podróżnicy potrafią sobie oczywiście znaleźć miejsca wyjątkowe, ale trzeba się już nad tym coraz bardziej natrudzić. Natomiast zwykły turysta podróżujący z biurem podróży właściwie nie ma pojęcia, jak żyją ludzie w kraju, w którym przebywa, jak naprawdę smakuje tam życie.

**Bardzo szybko to poszło, zaledwie kilkadziesiąt lat.**

Dokładnie. Jeszcze w latach 70. XX w. zorganizowanie niektórych wypraw zajmowało mi półtora roku ciężkiej pracy. Tyle czasu planowałem trasę, gromadziłem mapy, wiedzę o środkach transportu i wszelkich trudnościach. Tak było choćby z wyprawą na Borneo. Był z tym poważny problem: tereny te zamieszkiwali Dajakowie – lud, który kiedyś lubował się w polowaniu na ludzkie głowy. Zaprzętało mnie pytanie, czy nadal zdarza im się to praktykować. Dwa razy jeździłem do Dżakarty, dopytywałem na uniwersytecie. Ale żaden profesor nie był w stanie dać przekonującej odpowiedzi.



FOT. ARCHIWUM JACKA PAKIEWICZA

Na szczęście już nie praktykowali, choć wysuszone ludzkie głowy z dawnych czasów jak najbardziej zachowali.

**A dzisiaj ile by panu zajęło zorganizowanie takiej wyprawy?**

To nawet wiem konkretnie, bo kilka lat temu powtórzyłem tę trasę. Całą wyprawę udało mi się zorganizować w dziesięć dni, i to nie ruszając się sprzed komputera. Każdy bilet można kupić z Warszawy przez internet, każdy hotel zarezerwować. To oczywiście wielka zaleta dla milionów ludzi, ale z mojej perspektywy ta przygoda nie smakuje już tak samo. Kiedyś, żeby z Afryki dać znać rodzinie, że żyję, musiałem iść na pocztę i cierpliwie czekać na połączenie. Czasem i dłużej niż dobę. A dzisiaj? Wysyłam esemesa i tyle. Chcę przez to wszystko powiedzieć, że kiedyś być podróżnikiem znaczyło mieć wielki hart ducha, zdolność pokonywania przeszkód, wstawiania po upadkach.

**Pana twardość zachwyciła świat w 1975 r., kiedy podjął się pan przepłynięcia Atlantyku w łodzi ratunkowej jako „dobrowolny rozbitek”. Skąd taki pomysł?**

Szczerze mówiąc, trochę z biedy. Żeglowałem już jako nastolatek, był to czas wielkiej fascynacji młodych Polaków tym sportem. Bohaterami zbiorowej wyobraźni byli Krzysztof Baranowski, Leonid Teliga, popularna była literatura marynistyczna. Kiedy więc zadomowiłem się we Włoszech, pomysł wielkiej wyprawy żeglarskiej nasunął się w sposób oczywisty. Ale nie mogłem nawet marzyć o jachcie pełnomorskim, to wymagało ogromnych sum. Nie miałem też szansy na zdobycie sponsora, bo nikt mnie z tej żeglarskiej

strony nie znał. Wtedy wpadłem na pomysł, że popłynę na zwykłej szalupie ratunkowej z żaglem, z kompasem jako jedynym instrumentem nawigacyjnym, w roli dobrowolnego rozbitka. Chciałem w ten sposób pokazać, że jeśli człowiek się nie podda, to może z każdej próby wyjść zwycięsko.

**Ale z pana wspomnień wynika, że to nie było takie proste. Kilka razy o mało pan się nie załamał.**

To prawda, to była największa próba mojego życia. Ciągła walka z własną słabością. Wtedy musiałem podjąć chyba najtrudniejszą w życiu decyzję. Oto po trzydniowym sztormie ledwie żywy, zmęczony i przemoczony spotykam statek, który postanawia mnie podjąć z wody. I ja wtedy w kilka minut analizuję sytuację. Wiem, że jak do nich wyjdę, to dostanę suchą koję, skończy się męczarnia, będę mógł się wyspać i zjeść coś ciepłego, będę już bezpieczny. Ale za chwilę inna myśl: jeśli to zrobię, jeśli się poddam, to już nigdy nie będę mógł spojrzeć z dumą w lustro. Postanowiłem kontynuować podróż. I ukończyłem ją, pokonałem Atlantyk, ale przede wszystkim własną słabość.

**Ostatnie dekady pana wypraw to tereny zupełnie odmienne w charakterze od Afryki i Azji. Ruszył pan na Syberię. Dlaczego?**

Ten obszar fascynował mnie zawsze, zwłaszcza Syberia, ale do czasów Gorbaczowa miałem zakaz wstępu do Związku Radzieckiego. Zresztą także do Polski mnie wtedy nie wpuszczano. Dziś wiem, bo widziałem dokumenty z IPN, że powodem odmów były moje kontakty z opozycją wobec PRL i krytyczne artykuły na

temat sytuacji w Polsce. Gdy wreszcie granice otwarto, natychmiast wyruszyłem w wyprawę od Kamczatki po Wyspy Kurylskie. Oczywiście słałem reportaże do włoskiej prasy.

#### **Czego pan tam szukał?**

Przyroda i silny, zdolny do przeżycia w tak trudnych warunkach człowiek – to było i jest najciekawsze.

#### **Powstały z tych wypraw i powstają książki. Tym razem znowu zaskocznie: Dubaj.**

Ale nie będzie to sielski obrazek. Pokazuje prawdziwe oblicze tego kraju, całkowity brak wolności i demokracji, represje za byle słowo, niewolniczą pracę milionów przybyszów z Indii czy Pakistanu. Pracowałem nad tym tematem ostatnie półtora roku. A wszystko zaczęło się od mojej metryki. Uprzytomniłem sobie, że przekroczyłem Conradowską „smugę cienia” i fizjologia nie pozwala mi już na ekstremalne eksploracje czy survivalowe szkolenia w surowych i niegościnnych środowiskach naszego globu. Po 37 latach spłaciłem moralny dług wobec Lindy, mojej żony, i chyba pierwszy raz w życiu wyjechaliśmy na wspólne pięciogwiazdkowe wakacje. Stąd Dubaj, pełny sprzeczności emirat, który od lat przykuwa uwagę świata.

#### **Nigdy nie korciło pana, by kręcić filmy?**

Próbowałem kilka razy. Ale kolejne próby pozostawiały u mnie, i u filmowców poczucie niedosytu. Żeby nakręcić dobry film o wyprawie, potrzeba ogromnego budżetu i bardzo dużo czasu. A u mnie kamera zawsze była trochę na doczepkę. Odczuwałem też obecność ekipy filmowej jako balast. Bardzo utrudniało to szybki marsz, ograniczało swobodę decyzji. Zmuszało również innych uczestników wyprawy do męczących powtórek. Idziemy np. pod górę, a operator stwierdza, że należy wrócić i jeszcze raz wejść, bo ładne będą z tego zdjęcia. To budowało w ekipie napięcia... Nie, dla mnie to coś zupełnie innego – bardziej gra w filmie niż wyprawa podróżnicza.

#### **Są jeszcze na świecie miejsca nieodkryte?**

Na pewno kosmos, w dużej mierze także głębiny morskie. Ale i na ziemi zdarzają się tajemnicze zakątki. Kilka lat temu

w Brazylii, na granicy z Peru, sfotografowano Indian nazywanych tam „niekontaktowymi”. Szacuje się, że żyje tam jeszcze kilkuset Indian, którzy egzystują poza kontaktem z cywilizacją białego człowieka, cofają się pod naporem, przenoszą, ale nie chcą zrezygnować z izolacji. Kilka lat temu strzelali nawet z łuków do nisko lecącego samolotu. Przypuszczam też, że na wyspie Nowa Gwinea mogą żyć odnogi niedawno odkrytego plemienia Korowajów, którzy również żyją w podobnej izolacji. Pewnie to już ostatnie takie miejsca.

## **We Włoszech są setki miejsc, które się arabizują. Zanikają włoskie napisy, Europejczycy się wyprowadzają**

#### **Z drugiej strony stosunkowo niedawno, bo w 1996 r., odkrył pan źródła Amazonki. To jak to jest: świat jest poznany czy nie?**

Często mnie pytają, jak można dzięki wyprawie odkrywać źródła rzeki w czasach precyzyjnych zdjęć satelitarnych. Odpowiadam, że zdjęcie satelitarne pomaga, ale wszystkiego nie rozwiąże. To są góry, to podziemne ciekły wodne, to jaskinie. Trzeba tam pójść, dotrzeć, wszystko pomierzyć, zobaczyć. Wtedy, spełniając wszystkie kryteria naukowe, łącząc te wszystkie dane, możemy postawić wiarygodną hipotezę. Tak było i tym razem. Po raz kolejny potwierdziło się, że każde odkrycie zawiera w sobie tyle pytań, iż niesie możliwość kolejnych odkryć.

#### **Polski pan nie zwiedza?**

Niektórzy są obrażeni, ale przyznają szczerze, że nie mam czasu. Dwa regiony są szczególnie mojemu sercu bliskie: Bieszczady i Mazury. W promocję tych ostatnich zaangażowałem się poważnie. Sądzę, że gdybyśmy podeszli do tego jako państwo profesjonalnie, marketingowo, to te miejsca, plus Puszcza Białowieska, dałoby się wypromować na świecie, mogłyby być bardzo atrakcyjne.

#### **Jaki jest pana stosunek do imigracji islamskiej w Europie? Naprawdę nas to ubogaci, jak zapewnia europejski establishment?**

Jestem bardzo krytyczny wobec przyjmowania imigrantów. Zdecydowana większość z nich to nie są żądni uchodźcy, ale ludzie, którzy szukają wygodnego życia w Europie. Jest wiele przypadków, że żądają lepszych hoteli, niż im się oferuje, dostępu do internetu, luksusowego menu i naprawdę nie zachowują się jak ludzie szukający schronienia przed nieszczęściem. We Włoszech, gdzie mieszkamy z żoną sporą część roku, widać skutki tego wszystkiego. Miasteczko rodzinne mojej żony, z 1000-letnią historią, na jej oczach się arabizuje. Zanikają napisy włoskie, dominują arabskie, Europejczycy się wyprowadzają. Takich miejsc są setki, choć nie mówi się o nich w mediach spętanych tzw. polityczną poprawnością.

#### **Możemy uniknąć zderzenia cywilizacji?**

Ono już następuje. Te napięcia, które są dzisiaj, to zaledwie przedsmak tego, co nas czeka. Tę ogromną falę wykorzystuje się także do przerzutu środków finansowych dla ugrupowań fundamentalistycznych, już i tak mocno obecnych w Europie. Niestety jeśli Europa się nie obudzi, będzie tylko gorzej.

#### **Przestrzegala przed tym wszystkim Włoszka Oriana Fallaci.**

Wyszydzano ją i mieszano wtedy z błotem. Była wizjonerką, widziała, co nas czeka. I dzisiaj niektórzy już na kolanach proszą ją pośmiertnie o przebaczenie za to, co jej czynili. Mam nadzieję, że przykład Włoch i Niemiec będzie dla Polaków wskazówką, jak nie popełnić w tej sprawie tych samych błędów. Wiem, że to niepoprawne politycznie, ale sumienie nie pozwala mi mówić inaczej. ■

**Najnowsza książka Jacka Pałkiewicza opowiada o Dubaju i ukaże się w najbliższych tygodniach**

